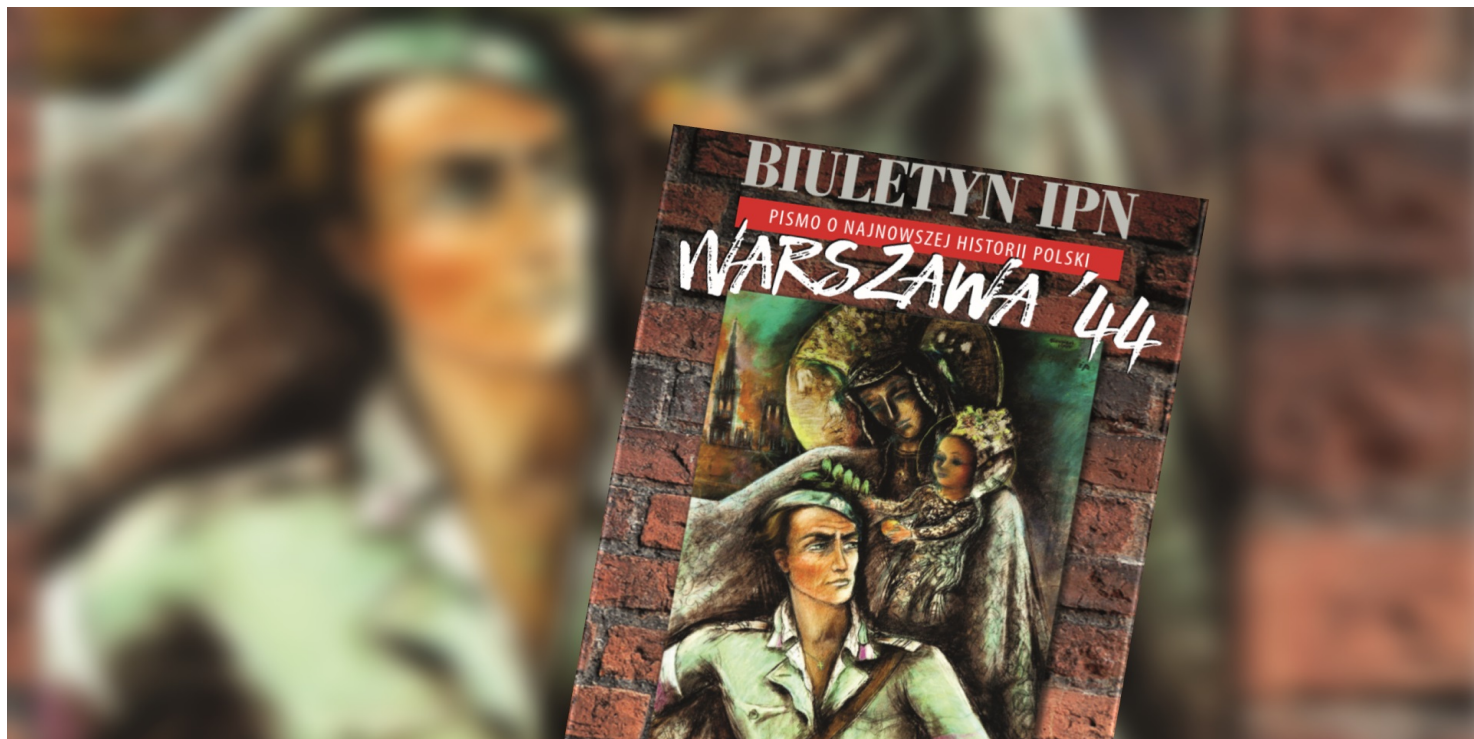


Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/71937,Godzina-W-Pogotowie-w-oddziale.html>



ARTYKUŁ

Godzina „W”. Pogotowie w oddziale

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: ANNA SZARZYŃSKA-REWSKA 31.07.2020

W ostatnim tygodniu lipca 1944 r. wzrosło w Warszawie napięcie spowodowane udaną i szybką ofensywą wojsk sowieckich w kierunku stolicy.

Szereg urzędów niemieckich i fabryk pośpiesznie ewakuowano, a ważniejsze arterie Warszawy prowadzące z Pragi w kierunku zachodnim były zawałone niekończącymi się kolumnami taborów wojskowych oraz rozbitków. Po Alejach Jerozolimskich, Chłodnej i Wolskiej nie kursowały z tego powodu tramwaje.

Największe nasilenie fali uchodźców, zarówno wojskowych, jak i cywilnych, można było zaobserwować w sobotę dnia 22 lipca i w niedzielę 23 lipca. W nocy z 24 na 25 lipca został zarządzony stan pogotowia w [naszym] oddziale. Musiałyśmy przebywać wiele godzin na punkcie kontaktowym naszej sekcji przy ul. Czerwonego Krzyża 11 (mieszkanie „Moniki”), a w razie opuszczania go zostawiać dokładny rozkład godzinowy miejsc pobytu. Utrzymywanie łączności telefonicznej było bowiem bardzo utrudnione, jeśli wręcz nie niemożliwe z powodu wyłączenia przez Niemców większości prywatnych telefonów.

Od 27 lipca zarządzane zostało ostre pogotowie. Rozkaz gen. „Bora” odwołujący je i nakazujący pogotowie zwykłe, z dnia 28 lipca – godz. 16.00, dotarł do naszego oddziału dopiero w poniedziałek 31 lipca rano. Liczyłyśmy więc, że od spodziewanej akcji dzieli nas co najmniej kilka dni ...

Przygotowywałyśmy pełne oporządzenie, tj. plecaki z niezbędnym ekwipunkiem. Czekają one na nas w mieszkaniu dowódcy 2-ej drużyny, „Magdy”, przy ul. Wilczej 73.

Od 27 lipca zarządzane zostało ostre pogotowie. Rozkaz gen. [Tadeusza Komorowskiego] „Bora” odwołujący je i nakazujący pogotowie zwykłe, z dnia 28 lipca – godz. 16.00, dotarł do naszego oddziału dopiero w poniedziałek 31 lipca rano. Liczyłyśmy więc, że od spodziewanej akcji dzieli nas co najmniej kilka dni [...].

1 sierpnia po godz. 9.00 rano wyszłam z domu przy ul. Mickiewicza 25 na Żoliborzu, gdzie mieszkałam od paru miesięcy u mej ciotki (Anny Hoffmanowej) pod nazwiskiem Hanny Rasnowskiej. Przeniosłam się tu, po wpadce moich lewych dokumentów wystawionych na Renatę Ostrowską, z wynajmowanego przeze mnie pokoju przy ul. Mickiewicza 30.

Tak jak w poprzednich dniach, odkąd obowiązywało pogotowie w oddziale, jechałam do naszego lokalu przy ul. Czerwonego Krzyża 11, znajdującego się w pobliżu skrzyżowania ulic Solec i Dobrej. Na punkcie, z powodu odwołania ostrego pogotowia, nastrój podniecenia niemal minął. Wynałazałam w domowej bibliotece wiersze jakiegoś współczesnego poety francuskiego, z których kilka pięknych przepisałam sobie nawet na kartkach

z zeszytu. „Ewa” czytała mi niektóre swoje wiersze o Warszawie, zupełnie udane.

Miałymy zostać na obiedzie u „Moniki”, gdy nagle około godz. 14.00 przyleciała z miasta „Iza”, rozgorączkowana, rozpromieniona, rzucając nam pośpiesznie cudowną wiadomość, że dziś, właśnie dziś! Nie chcieliśmy wierzyć, ale widok jej uniesienia przekonał nas bardziej od słów. Ale co dziś? ... nie wiedziała. Tylko, że dziś na 16.00 mamy być wszystkie w takim to a takim punkcie Woli z plecakami, trzeba się szalenie spieszyć, aby nie spóźnić się, bo tramwaje fatalnie chodzą, niemożliwie przepełnione, a nasze plecaki leżą w mieszkaniu „Magdy” przy ul. Wilczej.

A więc wreszcie! Chociaż to dopiero koncentracja, do akcji może być jeszcze daleko.

O Izo!, nigdy nie zapomnę Ciebie, mówiącej nam o tak dawno oczekiwanym rozkazie! W mrocznym korytarzu błyszczały twe ciemne oczy tak wielką radością i uniesieniem, jakże śmiałaś się radośnie ściskając nas, twym młodym, odważnym śmiechem!

W kilka chwil byłyśmy gotowe, „Monika” chwyciła pośpiesznie coś do jedzenia na drogę (zasadniczo każda miała zabrać dla siebie jedzenie na 24 godziny, ale teraz nie było już czasu na wracanie do domu lub kupowanie) i kolejno (konspiracja!) wybiegłyśmy na ulicę.



Barykada na ul. Okopowej, 3 sierpnia 1944 r. Fot. ze zbiorów MPW

W drodze na punkt koncentracji

Zdecydowałam się iść piechotą na ul. Wilczą, bo o dostaniu się do tramwaju trudno było marzyć. Zresztą chciałam zajść na ul. Smolną, by pożegnać się z p. Wandą Gawrońską. Gdy przyszedłam do niej, nie było jeszcze godziny 15.00. Wiedziałam, że od 15.00 jest zawsze w domu, ale niestety nie mogło być mowy o czekaniu. Napisałam króciutką karteczkę – że idziemy na punkt na Woli, że może się już coś zacząć. Czy

spodziewałam się, że nigdy nie ujrzę już tej, która taki duży wpływ wywarła na losy mego życia?

Pobiegłam dalej. Wpadłam do „Markizy” – kawiarenki przy ul. Kruczej tuż przy Alejach Jerozolimskich – pożegnać się z Marysią (Woytowicz, z d. Gordziałkowską). Była nieco przerażona moją wieścią (siostra jej – pseudonim „Kali” – należała też do „Dysku”).

Gdy wreszcie dostałam się na miejsce do mieszkania „Magdy”, zaczęło się pośpieszne przebieranie ze strojów „cywilnych” na bardziej „wojskowe”. Włożyłam spódnicę, wiatrówkę i świeżo, pięknie podzelowane narciarskie buty. Ponieważ było już dobrze po 15.00, „Monika” zdecydowała, że zafunduje riksę do przewiezienia wszystkich plecaków, choć kosztować miała ona aż 500 zł. Jechałam na rikszy, a reszta koleżanek otrzymała polecenie towarzyszenia mi pieszo, w pewnej odległości. Plecaki przykryłyśmy jakimś materiałem, żeby nie rzucały się w oczy – i ruszyłyśmy!

Szereg urzędów niemieckich i fabryk pośpiesznie ewakuowano, a ważniejsze arterie Warszawy prowadzące z Pragi w kierunku zachodnim były zawałone niekończącymi się kolumnami taborów wojskowych oraz rozbitków. Po Alejach Jerozolimskich, Chłodnej i Wolskiej nie kursowały z tego powodu tramwaje.

Dzień był ładny, słońce przygrzewało mocno. Za rogiem Chłodnej i Żelaznej na chwilę musiałam zatrzymać riksę, gdyż któraś z koleżanek chciała wstąpić po coś do jednego z konspiracyjnych lokali przy ul. Chłodnej. Wsiadłam z rikszy, przyglądając się z podnieceniem ruchowi ulicznemu, czy nie dostrzegę w nim czegoś, co się zbliża nieuchronnie, aż wreszcie wybuchnie otwartą, wymarzoną walką. Dziś jeszcze widzę ten róg ulic, naszą riksę, oświetlenie słoneczne ulicy, ruch, przejeżdżające tramwaje, dużo przechodniów i jakiś utajony pośpiech, z którym każdy gdzieś dążył, jechał; jakieś napięcie nieustające wokoło, które – czego się zupełnie nie spodziewałam – wyzwolić się miało jakże szybko – za pół godziny – w pierwszych strzałach Powstania!

Nie mogąc się doczekać powrotu koleżanek, pobiegłam do znanego mi lokalu, aby je przynaglić. Przecież była już 16.00...

Pojechałyśmy dalej Chłodną w kierunku Okopowej, a potem Okopową w głąb, w stronę cmentarzy. Ulica dość szeroka, nieznana mi, ruch znacznie mniejszy niż na Chłodnej.

Miałymy dołączyć do grupy „Brody”¹ – szczegółów tego spotkania nie znałam. Kazano mi poczekać przy jednej z przecznic Okopowej na „Monikę”, która powinna była wskazać dokładne miejsce wyładowania plecaków po uprzednim rozpoznaniu przez siebie właściwego domu. Po chodniku koło rikszy szły „Kali” i ta koleżanka, która prawie nigdy nie przychodziła na zbiórki, wskutek czego zapomniałam jej pseudonim.

„Broda”, kryptonim po raz pierwszy słyszany tego dnia, brzmiał dla mnie dziwnie obco. Byłam tym oburzona, że wybrano taką okropną, prozaiczną nazwę, nie wiadomo po co. Nie wiedziałam wówczas, że jest to skrót nazwy „Brygada Dywersyjna”.

Riksza stanęła na wskazanym rogu (bodaj przy ul. Kaczej). Siedziałam na niej już niecierpliwie, gdyż wiedziałam, że miejsce naszej koncentracji jest gdzieś bardzo blisko.

Pierwsze strzały

Od strony Leszna nadjeżdżał Okopową autobus wojskowy niemiecki – jakiejś formacji o umundurowaniu zielonym, ale cokolwiek innym niż Wehrmacht. Na dachu autobusu leżały piękne niemieckie plecaki o jednej stronie skórzanej. Nie zwróciłam na niego specjalnej uwagi – nie było się czego obawiać – wojskowi nie zatrzymują i nie rewidują.

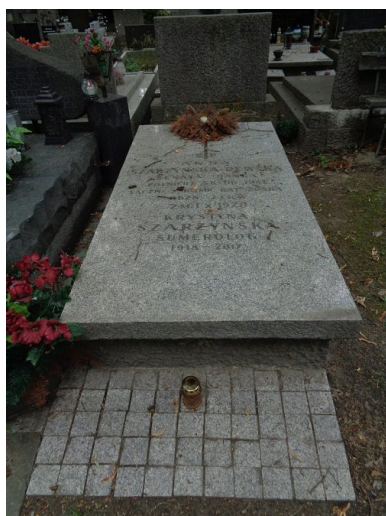
Auto minęło róg, przy którym staliśmy. Wokoło panowała cisza i spokój, przechodniów mało.

Nagle, skądś zupełnie nieoczekiwanie wyprysło kilka strzałów, potem więcej i więcej, w krótkich seriach rkm lub pojedynczo. Auto stanęło – do niego strzelano. Strzelających nie było widać; ulica zaraz opustoszała, tylko domy złowrogo patrzyły pozamykanymi szczelnie oknami. Byłam zupełnie zdezorientowana. A raczej byłam przekonana, że dopuszczono się samowoli i bez rozkazu zaczęto strzelać, przez co mogła wpaść cała koncentracja. Niemcy wyskoczyli, chroniąc się za auto, i zaczęli się odstrzeliwać. Obie koleżanki, riksiarz – gdzieś znikli, zapewne w sąsiednich bramach przecznicy. Nie mogłam jednak opuścić ekwipunku całej naszej sekcji. Wiedziałam, że o ile cofnę się gdzieś do bramy, może znaleźć się jakiś spryciarz i przywłaszczy sobie nasze plecaki. Przy tym i Niemcy mogliby wtedy zrobić z nimi, co zechcą. Ponieważ jednak strzelanina wokoło wzmagala się – chciałam przeciągnąć riksę w bezpieczniejsze miejsce, na boczną uliczkę, gdzie choć częściowo byłaby zasłonięta od strzałów. Z trudem udało mi się ją zepchnąć na upatrzone miejsce. Wpadłam do kilku najbliższych bram, szukając koleżanek, ale znikły gdzieś kompletnie. Podbiegłam do rikszy – stała na miejscu. Z lewej strony na Okopowej leżał zabity Niemiec. Reszta ludzi z auta poderwała się w moją stronę, zdezorientowana, z przerażeniem w oczach, nie zwróciwszy na mnie większej uwagi.

Nigdy nie zapomnę widoku pierwszego rannego w Powstaniu. Był nim Niemiec, biegł w głąb ul. Kaczej, pochylony, krew tryskała mu obficie z dolnej części twarzy czy z szyi – widocznie miał przeciętą tętnicę. Blask przerażenia wycierał z jego oczu – „*Kameraden. Kameraden, ich bin schwer verwundet!*”² wołał, ale reszta

jego kolegów dbała przede wszystkim o to, by schować się jak najspieszniej do którejś z bram. Przebiegł tuż koło mnie. Na widok jego przerażenia, bezradności, krwi lejącej się grubą wstęgą – zrobiło mi się go żal. Ale nie miałam pod ręką opatrunku osobistego. Były w plecakach. Zresztą musiałam je oszczędzać dla naszych, a Niemcy mieli przecież dobre zaopatrzenie, obok w domach mogli znaleźć potrzebne do opatrunku materiały.

Po wycofaniu się Niemców – strzały przycichły, ale pojedyncze stale przecinały ulicę, niewidoczne, zabłąkane, nie wiadomo skąd [...].



Grób Hanny Rewskiej i Krystyny Szarzyńskiej na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Fot. Wikimedia Commons/Lukasz2 (CC BY-SA 4.0)

Pierwszy wieczór

Znajdowaliśmy się w fabryce „Telefunken”, przy ul. Mireckiego róg Karolkowej. Po drugiej stronie ul. Mireckiego, za murem, rozciągał się teren dawnego boiska sportowego „Skry”. Kwaterowałyśmy w biurze fabryki, na parterze. Środkiem jednej, dużej sali przebiegał rodzaj korytarza oddzielony od właściwych pomieszczeń biurowych drewniano-szklanym przepierzeniem z okienkami dla interesantów. Stały tu stoły, biurka, krzesła. Część pomieszczenia, którego okna wychodziły na ul. Mireckiego, zajęło dowództwo „Dysku”, tj. por. „Lena”, „Margerita”, „Zofia”. Pamiętam jeszcze kilka starszych pań, byłych uczestniczek walk o niepodległość, które objęły pracę kancelaryjną batalionu i pisały niezamordowanie na kilku maszynach

biurowych.

To są tzw. szepty śmierci... gdy pojedynczo kule blisko przelatują, to tak dźwięczą, jakby ptak śpiewał. Widocznie ostrzeliwują cmentarz..., kule muszą gdzieś przelatywać blisko nas i słyszymy ich charakterystyczny gwizd. A więc śmierć jest tak blisko? A więc to ona szepce nam ostrzegawczo: „jestem tuż, jestem tuż”.

Przydzielono nam na kwaterę przeciwległą część sali od tej, gdzie rezydowało dowództwo. Okna jej wychodziły na nieduże podwórko, po drugiej jego stronie mieściła się intendentura batalionu i kuchnie.

Przebrałam się w spodnie, które miałam w plecaku. Rozdawano opaski biało-czerwone. Przyszywało się je do lewego rękawa. Z żalem odstąpiłam swoją któremuś chłopcu, uważając, że jest mu bardziej niezbędna, ale jeszcze tego samego wieczora udało mi się otrzymać drugą.

W jakieś dwie godziny po mnie dotarła na kwaterę „Kali”, natomiast druga koleżanka, która szła obok rikszy w drodze do „Telefunkena” – gdzieś „wsiąkła”. Zdecydowałyśmy się podzielić zawartością jej plecaka. Dostałam skórzany pas do spodni i dzienną, niebieską zmianę trykotowej bielizny. Żadna natomiast nie chciała wziąć... nocnej koszuli, cudownie różowej, przystrojonej koronkami! Śmiałyśmy się serdecznie z pomysłu zabierania takich rzeczy do akcji.

Dziś mam jeszcze w oczach jedną z koleżanek trzymającą przed nami koszulkę i zachęcającą ze śmiechem do skuszenia się na takie чудо. W końcu zdecydowała się na nią „Halszka”.

Spośród dziewcząt, jakie znalazły się na naszej kwaterze, paru zupełnie nie znałam, kilka tylko z widzenia. Niektóre z nich były towarzyszkami naszych ćwiczeń w terenie, jak np. „Maluchy” i ich komendantka „Krystyna”, siwa, choć jeszcze młoda, o pięknych ciemnych oczach. Z bliżej mi znanych, starszych koleżanek, znalazły się w „Telefunkenie”: 1) dowódca 1-ej drużyny „Staszka”, 2) dowódca 1-ej sekcji „Janka”, 3) doktorka, która uczyła nas na kursach sanitarnych, urocza „Jaga”. Niestety wiele koleżanek nie dotarło, z różnych względów, jak np. „Halina” z naszej sekcji, leżąca wówczas w szpitalu.

„Kali” swym przybyciem wprowadziła mnóstwo humoru i wesołości. Siadała na jednym ze stołów

i rozentuzjasmowana śpiewała, dowcipkowała, perorowała. Pamiętam melodię piosenki żołnierskiej z pierwszej wojny „... to Tipperary”, oraz polskiej, której słowa wymknęły mi się z pamięci z wyjątkiem jednej zwrotki: „Noc taka cudna, szkoda jej zmarnować... trzy, cztery...”. „Kali” śpiewała je tak cudownie, z takim życiem, wyrazem, akcentem, że póki żyję, nie zapomnę. Byłyśmy jej piosenkami olśnione, uczyłam się ich na pamięć, a ponieważ przedtem były mi nieznane, więc teraz pozostały na zawsze związane z tym pierwszym, najradośniejszym powstańczym wieczorem. „Kali” zachęcała dziewczęta do obcinania sobie włosów na krótkie czupryny, najodpowiedniejsze według niej dla żołnierskiej sylwetki kobiety. Niektóre wzięły się na jej namowy, a ona, z nożyczkami w rękach, uskuteczniła swój pomysł. Pamiętam, że „Tosia” w ten sposób postradała swe włosy.

Proponowano nam objęcie funkcji łączniczek przy dowództwie. Ale osobiście, gdy dowiedziałam się, że w gruncie rzeczy chodzić tu będzie jedynie o przechodzenie z jednego do drugiego pokoju – zrezygnowałam, by być gotową do innej, bojowej akcji.

Czas leciał szybko. Nareszcie wszystko w „Telefunkenie” funkcjonowało normalnie, tj. elektryczność, woda, a nawet telefon oraz radio, przekazujące nam wiadomości z dowództwa gen. „Bora”.

Kuchnia oddziału jeszcze nie była uruchomiona, więc na kolację przegryzłyśmy coś z naszych „żelaznych” porcji. Wieczorem rozlokowałyśmy się do snu: ja z „Izą” tuż obok siebie, na podłodze naturalnie, między jakąś szafką a stołem.

Po umyciu się w eleganckiej, ale małej umywalce ułożyłyśmy się, jak można było najwygodniej. Gwar ucichł, światła pogaszono, a my szybko usnęłyśmy, szczęśliwe, pełne nadziei i marzeń o walce, nieco znużone tym pamiętnym dniem 1 sierpnia, dniem pełnym emocji i radosnych uniesień [...].

Zrzuty na terenie boiska „Skry”

Któregoś z pierwszych wieczorów, gdy już pogaszono światła i zasypiałyśmy, obudzono nas i spytano, czy chcielibyśmy iść na „zrzuty”. Muszę przyznać, że nie wiedziałam początkowo, o co chodzi, dopiero koleżanki wytłumaczyły mi. Naturalnie zadowolona, że wreszcie jest coś ciekawego, zaraz zgłosiłam się. Przygotowania do wymarszu trwały dość długo. Jak dziś pamiętam na pół oświetlony korytarz, przyciszone głosy (część koleżanek spała), instrukcje „Zofii”, przegryzanie czegoś na drogę.

Najgorsze było to, że lał drobny, ale gęsty deszcz, a nie wiadomo było, jak długo miało trwać nasze oczekiwanie na wymarzone samoloty alianckie. Porozstawiane miałyśmy być po dwie na całym terenie boiska „Skry” z zadaniem obserwowania miejsca, w którym spadną zrzuty. Umówiłyśmy się z „Izą”, że pójdziemy razem.

Wreszcie, zachowując się możliwie najciszej, opuściłyśmy gmach i przez dziurę zrobioną w murze

ogradzającym boisko, która tworzyła zupełnie dogodne przejście, dostałyśmy się na jego teren.

Powierzchnia boiska była nierówna, natrafialiśmy ciągle na doły i rozpadliny, dziko rosnące trawy i z rzadka krzewy. Naszą grupę prowadziły „Lena” i „Zofia”.

Szłyśmy w milczeniu wzdłuż bocznego, na pół obalonego muru, ciągnącego się po prawej stronie, tj. równoległe do Okopowej.

Noc była ciemna, mżył deszcz. Na lewo w dali ciemniała masa wielkich drzew sąsiedniego, ewangelickiego cmentarza, oddzielonego od boiska wysokim murem.

Wkrótce na dany rozkaz odłączyłyśmy się, „Iza” i ja, od reszty i zboczyłyśmy na lewo, cała zaś grupa poszła dalej. Szłyśmy po nierównym terenie ostrożnie, wolno. Od czasu do czasu rozbłyskujące rakiety oświetlały drogę. Natychmiast przypadaliśmy do ziemi, aby przypadkiem nas nie zauważono.

Wreszcie w jakimś zagłębieniu, za krzakiem, znalazłyśmy odpowiednie miejsce do zatrzymania się. Siąść nie mogłyśmy – było zbyt mokro – więc na zmianę to klęczałyśmy, to – gdy nas nogi zabolaty – kucaliśmy. Na ogół było spokojnie, co pewien czas tylko, to z tej, to z drugiej strony odzywały się serie strzałów. Różnokolorowe rakiety cicho, lekko wlatywały w górę, gdzieś od strony Powązek, rozsypując się snopem pięknych iskier. Nasłuchiwałyśmy uważnie, czy nie dobiegnie nas warkot samolotu, ale nic nie zwiastowało jego przybycia.

Natomiast co to? Czyżby ptak śpiewał nocą? Delikatny, trzytonowy gwizd (wyżej – niżej – wyżej), i to gdzieś niedaleko nas, odzywał się co chwila.

– Słyszysz, Izo?

– Tak...

– Czy możliwe, aby ptak śpiewał nocą?

– Nie, to żaden ptak, a to są tzw. szepty śmierci. Wiesz, opowiadał mi mój tatuś, który jest wojskowym: gdy pojedynczo kule blisko przelatują, to tak dźwięczą, jakby ptak śpiewał. Widocznie ostrzeliwują cmentarz..., kule muszą gdzieś przelatywać blisko nas i słyszymy ich charakterystyczny gwizd.

A więc śmierć jest tak blisko, mimo tego pozornego spokoju, leniwego deszczyku, że może nas dosięgnąć cicho, łagodnie, w każdej chwili? A więc to ona szepce nam ostrzegawczo: „jestem tuż, jestem tuż”. Zamyśliłyśmy się dłużej, zdziwione nieco i poruszone. Oto nowa rzeczywistość odsłania przed nami swe tajemnicze oblicze. Pociągała nas ona tym więcej.

Siedziałyśmy przykucnięte już tak długo, że straciłyśmy rachubę czasu – ale samoloty nie nadchodziły. Wilgoć, nieustający deszcz zaczęły dawać się nam we znaki – marzłyśmy. A może już wszyscy powrócili, a my nie

dojrzałyśmy przechodzących koleżanek, może nie słyszałyśmy gwizdka odwołującego nas z posterunku? Widocznie samoloty już nie przybędą. Zdecydowałyśmy się pójść na zwiady, może znajdziemy sąsiedni posterunek. Błąkając się natrafiłyśmy na jakąś metalową budkę; może było to jakieś wywrócone auto, trudno się zorientować w ciemnościach, najważniejsze, że dawało nam schronienie od deszczu. Przemoknięte i za lekko ubrane jak na sierpniowe noce, trzęsłyśmy się z zimna, nie mogąc doczekać się świtu lub odwołania nas ze służby.

Wreszcie, już u kresu naszej cierpliwości, usłyszałyśmy szelest krzyków i rozmów. Wracła cała grupa, dołączyłyśmy do niej. Nasze niespanie, przemarznięcie, na nic się nie zdały i to było najgorsze. Czyż mogłam przypuszczać, że nocy takich będzie wiele, nocy, podczas których, mimo zapowiedzi radiowych, samoloty alianckie nie nadlatywały? [...]

Wreszcie umundurowane!

Jakaż była nasza radość, gdy dostałyśmy przydział mundurów, zdobytych w wielkiej ilości przez naszych chłopców w niemieckim magazynie na Stawkach! Każda z nas otrzymała: wełniane, jasnozielone spodnie, celtę zwaną też „pancerką”, tj. bluzę trzy czwarte długości w kolorze ochronnym, malowaną w nieregularne pasy zgniłozielone, brunatne i żółtawe, jakich Niemcy używali w zmotoryzowanych oddziałach, buty - sznurowane narciarki za kostkę, jasnobrązowe, bardzo zgrabną, twarżową czapkę z daszkiem, z tego materiału co celta. Wzięłam tylko celtę i czapkę, bo spodnie i buty miałam swoje. Naturalnie zaraz wszystkie poprzebierałyśmy się. Wyglądałyśmy wspaniale, po wojskowemu. Na czapkach poprzyszywałyśmy metalowe orzełki (nie wiem, skąd się one wzięły), do lewego rękawa przymocowałyśmy biało-czerwone opaski. Wszyscy chłopcy zostali umundurowani tak samo, a wielu otrzymało wspaniałe metalowe hełmy. Można ich było wziąć za Niemców, gdyby nie opaski, orzełki i bardzo młodzieńczy na ogół wiek. „Monika” powiedziała, że wyjątkowo mi do twarzy w tym mundurze i czapce. Muszę przyznać, że zadowolona byłam z tego komplementu, który zresztą tylko potwierdzał moje własne zdanie w tej sprawie.

Niestety brak nam było najważniejszej rzeczy - broni. „Lena” pocieszała nas, że mjr „Jan” obiecał jej przydział, gdy tylko chłopcy zdobędą ją na Niemcach w dostatecznej ilości i uzupełnią swoje własne, słabe jak dotąd, uzbrojenie.

Tekst pochodzi z numeru 7-8/2019 „Biuletynu IPN”

Fragment pamiętnika łączniczki Anny Szarzyńskiej-Rewskiej *W dniach Powstania Warszawskiego*.

Anna Szarzyńska-Rewska (1915–1970) – brała udział w akcji na Franza Kutscherę, w Powstaniu Warszawskim walczyła w batalionie „Zośka”, później trafiła do niemieckiej niewoli. Odznaczona Orderem Virtuti Militari i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Pośmiertnie (w 2009 r.) Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Aresztowana w 1958 r. i skazana na trzy lata za kolportaż paryskiej „Kultury”.

COFNIJ SIĘ